

BRIAN LUMLEY

NEKROSKOP

Przekład: Robert D. Hloniátko



NEKROSKOP

1

vis-à-vis
etiuda
Kraków 2023

Tytuł oryginału: *Necroscope*®

Copyright © 1986 by Brian Lumley

All rights reserved

[Kup książkę](#)

Dla Boba Eggletona

ZAMIAST PRZEDMOWY

Oto opowieść o tym, dlaczego, jak i kiedy napisałem serię *Nekroskop*... Opowieść, której nie mogłem opowiedzieć do tej pory, ponieważ wciąż ją pisałem! A przynajmniej jej spin-offy. Pisanie trwało bardzo długo, co oznacza, że muszę bardzo daleko cofnąć się w czasie. Cofnę się więc do czasów przed *Nekroskopem*, ponieważ aby wyrosły kwiaty, najpierw trzeba zasiać nasiona.

Pierwsze nasiona zostały zasiane – w mojej szarej materii, rozumiecie – gdy byłem dzieckiem, i to naprawdę małym dzieckiem, miałem może cztery czy pięć lat. Zdarzała mi się wtedy – i do dziś się zdarza – dziwna rzecz ze snami. Czasami, choć niestety ostatnio już nie, w snach potrafiłem... latać! Naprawdę wiedziałem, jak to się robi. A gdy się budziłem, umiejętność ta zacierала się przez dłuższą chwilę, aż w końcu zdawałem sobie sprawę, że wcale latać nie umiem. Cholera, jak ja tej chwili nienawidziłem!

Tak czy inaczej gdy byłem dzieckiem, często śniłem o podróżach w odległe miejsca. Kładłem się spać w swoim łóżku, a już po chwili byłem zupełnie gdzieś indziej: na plaży z kumplami albo w głębokim lesie, gdzie wspinałem się na moje ulubione drzewo; a jeszcze chwilę później znajdowałem się w jakimś jeszcze innym miejscu. Błyskawiczna zmiana scenerii. Jasne, wszystkim nam zdarza się to we śnie, ale ja dużo się nad tym zastanawiałem, ponieważ wszystkie te wyśnione miejsca wydawały się bardzo prawdziwe. Wyrosłem z tego oczywiście – ale wciąż żałuję.

Było to jednak nasionko zasiane w młodym kreatywnym umyśle. Później, gdy zaczytywałem się książkami science fiction, ideę teleportacji akceptowałem bez mrugnienia okiem. Jeśli coś można sobie wyobrazić, to równie dobrze można tego dokonać – a teleportację wyobrażałem sobie, ba, śniłem ją sobie, odkąd tylko nieco odrosłem od ziemi. I było to na długo przed pojawieniem się *Star Treka*.

Lata mijały, a zasiane nasiona szybko puszczały pędy. W wieku piętnastu lat jeździłem na praktyki do miasteczka oddalonego o jakieś osiem mil od mojej rodzinnej wioski. Naprzeciwno

przystanku, na którym zwykle wysiadałem, znajdował się kiosk z gazetami, w którym kupiłem swój pierwszy egzemplarz brytyjskiej edycji *Weird Tales*, pisma, które odtąd kupowałem co miesiąc. Boże drogi, gdybym tylko wówczas wiedział! Bardzo żałuję, że nie zachowałem kolejnych numerów tych szmirowatych gazetek, pięćdziesiąt lat później warte już były bowiem niemałą fortunę. Wiecie, co bym zrobił, gdybym posiadał wehikuł czasu? Zabrałbym kilka uncji złota do roku 1953–54, zamieniłbym je na ówczesne monety, nakupiłbym tyle pisemek, ile by się dało – wówczas za szylinga każdy (dzisiaj dziewięć centów) albo taniej, jeśli kupowało się na pchlim targu. Jasne, wiem, mając wehikuł czasu, można by zarobić pieniądze na wiele innych sposobów, ale ja zrobiłbym właśnie to. I wcale nie po to, żeby je odsprzedać, na miłość boską, co to to nie, mnie wystarczyłoby móc je jedynie jeszcze raz *powąchać*!

Nieco później w tym samym sklepiku pojawiły się wspaniałe zeszyty wydawnictwa EC Comics. Czytelniku, jeśli masz mniej niż powiedzmy pięćdziesiąt lat, możesz zwyczajnie nie wiedzieć, o czym mówię; choć z drugiej strony zapewne jednak wiesz, bez względu na to, w jakiej jesteś grupie wiekowej, ponieważ owe tak zwane komiksy EC stały się inspiracją dla wielu filmów, były przedrukowywane, wciąż są dzisiaj dostępne w pięknych wydaniach specjalistycznych wydawców. I daję głowę, że są to najbardziej pamiętne „rzeczy”, jakie przydarzyły się gatunkowi horroru w ostatnim stuleciu, obok H.P. Lovecrafta, *Weird Tales*, Arkham House, *Famous Monsters of Filmland*, Universal Studios i wytwórni Hammer. Dlaczego wymieniam tu te dwie ostatnie wytwórnie? Ponieważ to oni nakręcili Frankensteina, Wilkołaka i Drakulę jako pierwsi – i zrobili to najlepiej. (Tak, tak, wiem, że był jeszcze Nosferatu; nie staram się tu być nie wiadomo jak dokładny, opisuję to wyłącznie z mojej subiektywnej perspektywy).

Z tego, co widziałem w tych starych produkcjach Universal Studios, i z tego, co najlepiej zapamiętałem, najlepszy był Drakula. A z remake’ów studia Hammer pierwsza i najbardziej imponująca gra Christophera Lee w roli krwiożerczego hrabiego: sposób, w jaki jego peleryna się rozchyliła, gdy szedł po murach zamku... ach! Więc może było zupełnie naturalne (ponadnaturalne?), że dostawałem nostalgicznego kopa (nostalgia? tak, nawet w wieku zaledwie siedemnastu czy osiemnastu lat!)

podczas przeglądania *Weird Tales* i tych starych numerów EC Comics, z tytułami takimi jak *Gabinet Grozy*, *The Haunt of Fear*, a najbardziej oczywiście *Opowieści z krypty*. Jasne, że chodziło o te wszystkie wampiry! Możliwe, że istniały numery magazynów, które nie zawierały żadnych wampirycznych historii, ale jeśli tak, to nie mogę lub nie chcę ich pamiętać.

Natomiast co do książki Brama Stokera to przeczytałem ją rozdział po rozdziale w lokalnej bibliotece, ponieważ moi starzy nie pozwoliliby mi jej czytać w domu; miałem wtedy może osiem albo dziewięć lat. A jakieś jedenaście czy dwanaście lat później – możliwe, że nieco więcej – przeczytałem *Jestem legendą* Richarda Mathesona. Absolutny klasyk! Powieść tak dobra, że na jakieś ćwierć wieku powstrzymała mnie od napisania własnej książki o wampirach.

Jednak nasiono zostało zasiane...

Jaka szkoda, że nie wszystkie nasiona są dobre. Próbowiałem tu przywołać same dobre rzeczy: jasne, kwieciste skojarzenia i inspiracje, ale były też inne nasiona – pomysły, scenariusze, zarysy opowieści – które wynikały z głębokiej rozpacz. Tak jak po śmierci mojego ojca w 1980 roku. Był czerwiec, kiedy odebrałem telefon od siostry, która oznajmiła mi, że ojciec jest w szpitalu. Zanim udało mi się przejechać setki mil dzielące siedzibę centrum treningowego Królewskiej Policji Wojskowej w Chichester do Horden na północno-wschodnim wybrzeżu Anglii, mój ojciec już nie żył.

Poszedłem z matką spojrzeć na niego po raz ostatni w lokalnej spółdzielni i wtedy naprawdę mnie to uderzyło. Przez cały czas mojej służby w Armii – przez całe dwadzieścia dwa lata – widziałem starego może z tuzin razy, ale nigdy nie dłużej niż przez kilka dni i nigdy nie udało nam się spędzić czasu sam na sam. Albo były ze mną moje dzieci, albo on zajęty był pracą, albo ja miałem swoje obowiązki, albo tysiąc innych spraw nie pozwoliło nam usiąść razem we dwóch i pogadać, już nie jak facet z dzieciakiem, ale jak facet z facetem. A on wiedział tak dużo, tak dużo w życiu zrobił, i nie mogłem go już o nic zapytać...

Poszedłem do jego ulubionego pubu (pamiętam chyba nawet trociny na podłodze i spluwaczki pod mosiężną poręczą) i kupiłem dwa piwa, jedno dla siebie, a drugie dla niego. I gdy nikt nie patrzył, przeprowadziłem z nim rozmowę. Brałem na zmianę łyk z mojej szklanki i łyk z jego. I rozmawialiśmy... Ale tak napraw-

dę to głównie ja opowiadałem, jak bardzo mi przykro, że nie gadaliśmy w ten sposób wystarczająco często. I Boże, jak mi go brakowało, jak bardzo chciałem, żeby był tam ze mną ten jeden ostatni raz. I jak bardzo chciałem móc usiąść przy jego grobie i mówić do niego, pocieszać go i samemu być pocieszanym. Ale nie mogłem. I tak właśnie zostało zasiane ostatnie smutne nasiono.

Minęły kolejne trzy albo cztery lata, zanim nasiono puściło korzenie i zaczęło rosnąć. A gdy rosło, wraz z nim rosły także inne, te, o których już wspominałem. Powstała osobliwa hybryda, doprawdy dziwnie wyglądająca roślina. Wiedziałem, że muszę o nią dbać i ją pielęgnować. Nazwałem ją *Nekroskop*: opowieść o człowieku, który potrafił rozmawiać ze zmarłymi, podróżować błyskawicznie w czasie i przestrzeni w kontinuum Möbiusa – trasę ochrzciłem tak na cześć sławnego i od dawna nieżyjącego niemieckiego matematyka i astronoma Augusta Ferdynanda Möbiusa – i prowadzić słuszną walkę z krwio pijacami pochodzącymi z równoległego wszechświata.

Tytułowym Nekroskopem był (jest) Harry Keogh, spotkacie go na stronach następujących po tej przedmowie. Ale:

Harry nie posiadał wszystkich swoich umiejętności w jednym momencie, rozwój indywidualnych cech tej hybrydy, jej rozkwit, odbywał się w rytmie jej własnych pór roku. I nawet pod koniec powieści Harry nie jest jeszcze w pełni uformowany... i takim pozostanie przez kolejne cztery tomy. Ale gdy wreszcie postawiłem ostatnią kropkę na oryginalnym rękopisie *Nekroskopa*, wiedziałem, że to tylko jedna z co najmniej kilku opowieści, jakie miałem jeszcze do napisania.

Zgoda, brzmi to trochę bombastycznie, górnołotnie, egoistycznie i tak dalej. Ale to prawda. Byłem wtedy podekscytowany i z radością mogę powiedzieć, że ekscytacja nie minęła – nadal jestem podekscytowany nawet teraz! Ekscytujące rzeczy wydarzyły się i nadal się wydarzają. Ale po drodze zdarzyło się też więcej niż kilka trudnych momentów. Na przykład:

Napisanie wszystkich 150 tysięcy słów składających się na tę książkę zajęło mi dokładnie pół roku, od 14 marca do 14 września 1984. Rękopis wysłałem do Nicka Austina z Grafton Books w Londynie, a Nick oddzwonił do mnie w krótkim czasie. Przeczytał tekst i był do niego nastawiony entuzjastycznie, wydawnictwo Grafton postanowiło go opublikować. O ile dobrze pamiętam, moja zaliczka miała wynieść 3000 funtów – mniej

więcej 4500 dolarów. Auć! Ale pamiętajmy, że był rok 1984. Nawet jeśli nie były to wielkie pieniądze, to wystarczały, żebym nie musiał głodować w kolejnym roku.

Nekroskop został po raz pierwszy wydany w 1986 roku... takie rzeczy potrzebują czasu. Kolejne tygodnie i miesiące nie były łatwe. Wiedziałem przecież, że jest to książka, która odnieść sukces, jednak wtedy nic na to nie wskazywało. Pomyślałem, że powodem jest okładka: żółtawa i bardzo krzykliwa wydawała mi się odpychająca. Porozmawiałem z Nickiem, Nick zgodził się ze mną, Grafton postanowiło wydać książkę jeszcze raz z nową okładką autorstwa George'a Underwooda.

Czy podobała mi się nowa okładka? Jeszcze jak! Do tego stopnia, że kupiłem sobie oryginał grafiki, który wisi na mojej ścianie nawet teraz, raptem kilka stóp od biurka, przy którym piszę te słowa. I zadziało, problem zniknął natychmiast; *Nekroskop* nareszcie zaczął znikać z półek księgarni.

Jednocześnie w październiku 1986 roku wziąłem udział w Światowym Konwencie Fantastyki w Providence, rodzinnym mieście H.P. Lovecrafta. Byłem prawie całkiem splukany, ale pomogli mi przyjaciele, którzy opłacili loty. Bardzo chciałem zobaczyć Stany, a zwłaszcza Providence. Podróż była tego warta, ponieważ poznałem tam Toma Doherty'ego, szefa TOR Books. Natychmiast się polubiliśmy i na którymś z bankietów odważyłem się wręczyć Tomowi używany egzemplarz pierwszego wydania *Nekroskopa*. (Wydanie z okładką Underwooda nie było jeszcze gotowe).

Rok później w Anglii – a do tego czasu Nick Austin kupił prawa do drugiej książki w serii, noszącej tytuł *Wampir*, podczas gdy ja kończyłem właśnie pisać *Źródło*, część trzecią – odebrałem telefon z TOR Books, których oferta jak na tamten czas była bardzo dobra. TOR miał zamiar kupić prawa zarówno do *Nekroskopa* i *Wampirów*, których rękopis przesłałem im jakiś czas wcześniej, ale też do *Źródła*, którego jeszcze na oczy nie widzieli. W ten sposób nareszcie – wraz ze wzrostem sprzedaży w Wielkiej Brytanii i tą bardzo dobrą ofertą od TOR Books – zaczęliśmy odnosić sukces.

Od tamtej pory...

Nie zamierzam zanudzać czytelników szczegółowym opisem historii kolejnych publikacji, ale z przyjemnością mogę powiedzieć, że dziś, po dziewiętnastu latach od pierwszego wydania,

Nekroskop i trzynaście kolejnych tomów serii wciąż dobrze sprzedają się w Wielkiej Brytanii, Stanach i w dziesięciu innych państwach (jedenastym będzie Japonia), i to zarówno w miękkiej, jak i w twardej okładce. Na podstawie tych książek stworzono komiksy i powieści rysunkowe, figurki głównych postaci, a nawet grę RPG. W Niemczech *Nekroskop* doczekał się audiobooka i po wielu zawirowaniach zaplanowano także nakręcenie na jego podstawie filmu.

Co więcej, moja amerykańska strona internetowa powstała bezpośrednio dzięki tej serii, a od pięciu lat prowadzimy „Keogh-Con”, swego rodzaju minikonwent, tutaj w Anglii, podczas którego kilkudziesięciu fanów i przyjaciół Harry’ego Keogha oraz innych bohaterów i postaci Lumleya zbiera się, by wypić drinka, wziąć udział w panelach, posłuchać odczytów i robić wiele innych podnoszących ego rzeczy.

Co do moich publikacji w TOR: jestem jednym z najbardziej szczęśliwych ludzi na świecie. Bob Eggleton, wielokrotnie nagradzany artysta fantasy, otrzymał od TOR Books zlecenie na zaprojektowanie moich książek w USA. Jego różne czaszki – z których żadna nie jest ludzka! – są teraz ikonami, rozpoznawanymi i podziwianymi w większości miejsc na świecie, a on i ja staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Co więcej, pomijając serię *Nekroskop*, Bob zaprojektował większość moich okładek dla TOR; a ponieważ TOR opublikował około trzydziestu trzech moich książek, to jest to bardzo dużo okładek! Nikt nie robi tego tak jak Eggleton i wiem, że jego okładki w dużym stopniu przyczyniły się do sukcesu tych książek.

A skoro mowa o sukcesach:

W lipcu 1992 roku wydawnictwo TOR, które od czterech lat publikowało już moje książki w formacie kieszonkowym, wydało po raz pierwszy w twardej okładce kolejną część serii, powieść *Bracia krwi*. Od tamtej pory wszystkie kolejne części ukazywały się także w tym formacie, ale...

Dwa lata później, w 1994 roku, cofnęli się do punktu wyjścia i zaczęli wznawiać całą serię, od *Nekroskopa* do *Roznosiciela* w pięknych twardych okładkach ozdobionych obwolutami zaprojektowanymi przez Boba Eggletona. Po sześciu latach ukazywania się serii w miękkich okładkach zapotrzebowanie było wciąż na tyle duże, że miało sens przedrukowanie wszystkiego w o wiele trwalszym formacie.

No i to tyle, jeśli chodzi o historię *Nekroskopa*. To była bardzo długa i nieraz wyboista droga: zawał w 1989 roku, rozwód, mnóstwo innych zmartwień, zbyt jeszcze świeżych, bym je tutaj komentował; po prostu życie i lata, które mijają nieco szybciej niż dawniej.

A co do tej wieloletniej serii:

Ostatnio skończyłem pracę nad ostatnią częścią, opartą na pomysśle, jaki wspomniałem w rozmowie z Tomem Dohertym podczas bankietu i ceremonii wręczenia nagród Światowego Konwentu Fantastyki Waszyngtonie, w październiku 2003 roku. I wiecie co? Żadnych wampirów! Ale za to... coś zupełnie innego. Na ten moment książka ma roboczy tytuł *Dotyk*.

Tak czy inaczej dla tych z Was, którym spodoba się niniejsze specjalne i ostateczne wydanie *Nekroskopa*, przedstawiam listę pozostałych części w takiej kolejności, w jakiej powinny być one czytane. Bez żadnego ważnego powodu (poza tym, że być może moglibyście chcieć wiedzieć) podaję także daty, kiedy rozpocząłem i kiedy zakończyłem pracę nad każdą z nich:

Nekroskop (marzec – wrzesień 1984)

Wampiry (luty – sierpień 1986)

Źródło (kwiecień – sierpień 1987)

Mowa umarłych (listopad 1988 – marzec 1989)

Roznosiciel (marzec 1989 – marzec 1990)

Bracia krwi (maj 1990 – kwiecień 1991)

Ostatnie zamczysko (czerwiec 1991 – lipiec 1992)

Krwawe wojny (sierpień 1992 – sierpień 1993)

Stracone lata (styczeń 1994 – marzec 1995)

Odrodzenie (maj 1995 – marzec 1996)

Najeźdźcy (czerwiec 1997 – czerwiec 1998)

Piętno (czerwiec 1998 – czerwiec 1999)

Obrońcy (czerwiec 1999 – czerwiec 2000)

Ukazały się także trzy opowiadania dotyczące Harry'ego Keogha: *Nekroskop 15. Harry Keogh i inni dziwni bohaterowie* (czerwiec, lipiec i sierpień 2002).

Ostatnio TOR Books przyjęło do druku ostatnią część: *Dotyk* (listopad 2003 – listopad 2004).

Dotyk ukaze się w połowie 2006 roku i ostatecznie zamknie całą serię *Nekroskopa*. Przyjacielu, jeśli choć w połowie bawisz

się tak dobrze, czytając te książki, jak ja, gdy je pisałem, to mnie to w zupełności wystarczy. Naprawdę o nic więcej nie mógłbym prosić...

Brian Lumley, Torquay, listopad 2005

PROLOG

Hotel był duży i dość popularny, urządzony cokolwiek pretensjonalnie, wręcz ekstrawagancko. Znajdował się w pobliżu Whitehall i... był niezupełnie tym, czym zdawał się być. Najwyższe piętro zostało w całości oddane do użytku międzynarodowym przedsiębiorcom, w każdym razie dokładnie tyle wiedział na ten temat dyrektor hotelu. Mieszkańcy owego tajemniczego piętra mieli do dyspozycji osobną windę umiejscowioną na tyłach budynku, własną klatkę schodową, także dobudowaną z tyłu, a nawet osobne wyjście ewakuacyjne. Prawdę powiedziawszy, oni – a „oni” wydaje się jedynym rozsądnym terminem, jakiego można użyć na ich określenie w tych okolicznościach – *posiadali* najwyższe piętro i pozostawiali całkowicie poza sferą kontroli administracji hotelu. Tyle że dla patrzących z zewnątrz budynek jako całość zdawał się rzeczywiście spełniać dokładnie takie funkcje jak każdy inny normalny hotel – co najwyraźniej było celem, jaki „oni” chcieli osiągnąć. „Międzynarodowi przedsiębiorcy” – cokolwiek miałoby to oznaczać – wcale nimi nie byli. W rzeczywistości byli organizacją rządową lub raczej przez rząd kontrolowaną. Rząd wspierał ich, podobnie jak drzewo wspiera bluszcz, ale ich korzenie pozostawały oddzielne. Analogicznie byli tak małym pasożytem, że większa część drzewa nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia. Jak to często bywa w wypadku eksperymentalnych, nieprzewidywalnych przedsięwzięć, ich finansowanie miało niski priorytet i pochodziło głównie z „drobnych” wysuptykiwanych z budżetu. Co nieuniknione, utrzymywanie ich biura znajdowało się zatem zawsze na końcu listy wydatków.

Jednak w przeciwieństwie do innych projektów natura tego przedsięwzięcia rzeczywiście wymagała dużej dyskrecji. Fakt jego istnienia w wypadku dekonspiracji byłby kompromitujący; bez wątpienia instytucja ta byłaby postrzegana z podejrzliwością i pogardą, jeśli nie z niedowierzaniem i wręcz wrogością; byłaby widziana jako całkowicie zbędny wydatek, niepotrzebne obciążenie kieszeni podatnika, całkowite marnotrawstwo publicznych pieniędzy. Nie byłoby też dla niej żadnego usprawiedliwienia; korzyści czy owoce jej istnienia pozostawały jak dotąd

jedynie w sferze domysłów i najdrobniejszy skandal z pewnością przyczyniłby się do jej natychmiastowego zamknięcia. Te same zasady dotyczą każdej tego rodzaju organizacji czy służby: musi ona (a) być postrzegana jako skuteczna, a jednocześnie paradoksalnie (b) dbać o własną niewidzialność, anonimowość. Ergo: ujawnić ją to tyle co ją zabić...

Innym sposobem pozbycia się tego rodzaju hybrydy byłoby, po prostu, usunięcie jej wraz z korzeniami i konsekwentne zaprzeczanie, że kiedykolwiek istniała. Można by było też pocze-kać, aż korzenie te zostaną wyrwane przez jakąś zewnętrzną agencję, a następnie nie zasadzić ich w nowym miejscu.

Trzy dni wcześniej właśnie coś takiego nastąpiło. Złamana została ważna gałąź, której głównym zadaniem było związanie winorośli z ciałem gospodarza, zapewniającym jej stabilność. Krótko mówiąc, szef instytucji dostał ataku serca i zmarł w drodze do domu. Od lat miał chore serce, więc nie było to samo w sobie dziwne, ale wkrótce potem wydarzyło się coś, co rzuciło na sprawę inne światło, coś, nad czym Alec Kyle nie chciał się teraz zastanawiać.

Na razie, w ten poniedziałkowy poranek wyjątkowo chłodnego stycznia, Kyle, następny w kolejce, musiał ocenić skalę zniszczeń i stopień wykonalności potencjalnych napraw. A jeśli takie naprawy były w ogóle możliwe, musiał podjąć pierwszą próbę poskładania tego wszystkiego do kupy. Fundamenty projektu zawsze były trochę chwiejne, ale teraz, bez pozytywnego kierunku i przywództwa, cały spektakl może się rozsypać w bardzo krótkim czasie. Jak zamek z piasku, gdy nadejdzie przypływ.

Takie myśli kłębiły się w głowie Kyle'a, gdy wchodził z pokrytej śnieżną breją ulicy przez wahadłowe szklane drzwi do maleńkiego foyer, strzepywał wilgotny śnieg z płaszcza i kołnierza. Nie żeby on sam miał jakiekolwiek wątpliwości co do słuszności projektu – wręcz przeciwnie: Kyle uważał, że oddział jest ze wszech miar ważny – ale jak bronić swojego stanowiska w obliczu tego całego sceptycyzmu sączącego się bezustannie z góry? Sceptycyzmu – mówiąc ogólnie. Stary Gormley był w stanie mierzyć się z nim dzięki wszystkim swoim wysoko postawionym przyjaciółom, przez swój wizerunek, swój autorytet, entuzjazm i same osiągnięcia, ale takich ludzi jak Keenan Gormley było niewielu. Teraz jest ich jeszcze mniej.

A tego popołudnia o czwartej Kyle miał bronić swojej pozycji, sensu istnienia instytucji, ba! samego własnego istnienia. Szybko się uwinęli, i Kyle wiedział dlaczego. To było to, na co czekali: kryzys. Projekt miał zostać przerwany, ponieważ w ciągu pięciu lat pracy nie udało się osiągnąć nic lub przynajmniej niewiele. Nieważne, jakie argumenty by przedstawił, i tak by go zakrzyczano. Stary Gormley potrafił krzyczeć głośniejsze niż oni wszyscy razem wzięci; miał siłę przebicia, zaplecze; ale Alec Kyle – kimże on był? W myślach mógł sobie już teraz wyobrazić popołudniowe przesłuchanie:

– Tak, panie ministrze, jestem Alec Kyle. Moja funkcja w Oddziale? Cóż, poza tym, że jestem zastępcą Sir Keenana, byłem też – to znaczy jestem – to znaczy prognozuję... Słucham? Ach, to znaczy, że przewiduję przyszłość, sir. Nie, muszę przyznać, że prawdopodobnie nie mógłbym podać jutrzejszego zwycięzcy wyścigu w Goodwood. Moja świadomość nie jest tak szczegółowa. Ale...

Ależ beznadzieja! Sto lat temu ludzie nie wierzyli w hipnozę. Jeszcze piętnaście lat temu śmiali się z akupunktury. Jak więc Kyle mógł mieć nadzieję na przekonanie ich do sensowności istnienia oddziału i jego pracy? A jednak, z drugiej strony obok całego tego przygnębienia i poczucia osobistej straty było jeszcze coś. Kyle wiedział co: jego „talent”, który mówił mu, że nie wszystko jest stracone, że w jakiś sposób uda mu się ich przekonać, że oddział będzie działał dalej. Dlatego tu był: żeby przejrzeć rzeczy Keenana Gormleya, znaleźć jakieś uzasadnienie dla dalszej pracy oddziału, wciąż walczyć w jego sprawie. I wtedy Kyle znów zaczął się zastanawiać nad swoim dziwnym talentem: umiejętnością zaglądania w przyszłość.

Faktem było, że ostatniej nocy śniło mu się, że odpowiedź leży właśnie tutaj, w tym budynku, wśród papierów Gormleya. A może „śniło” to złe słowo: wizje Kyle’a – przebliski rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły, przyszłych wydarzeń – zawsze przychodziły w tych mglistych chwilach pomiędzy prawdziwym snem a przebudzeniem, bezpośrednio przed powrotem pełnej świadomości. Zwykły budzik mógł uruchomić ten proces, a nawet pierwszy promień słońca wpadający przez okno sypialni. Tak właśnie było tego ranka: szare światło kolejnego szarego dnia wtargnęło do pokoju, dostało się pod powieki, dając do zrozu-

mienia jego beczynn timer dryfującym umysłowi, że oto narodził się kolejny dzień.

A wraz z nim narodziła się wizja. Choć może „przebłysk” byłby lepszym słowem, bo tylko na tyle pozwalał talent Kyle’a: na niewielki, krótki przebłysk. Wiedząc o tym – i wiedząc, że zdarzy się to tylko raz, a potem zniknie na zawsze – skupił się na nim, chłonał go najpełniej jak potrafił. Nie miał odwagi niczego przegapić. Wszystko, co kiedykolwiek „zobaczył” w ten sposób, zawsze okazywało się niezwykle ważne.

Tym razem przebłysk był następujący:

Widział siebie siedzącego przy biurku Keenana Gormleya i przeglądającego po kolei papiery. Górna szuflada po prawej stronie biurka była otwarta; papiery i akta znajdujące się na biurku przed nim pochodziły stamtąd. Masywna szafa na dokumenty Gormleya stała jak dotąd nieotwarta przy ścianie pomieszczenia; trzy klucze do niej leżały na biurku, w miejscu, w które rzucił je Kyle. Każdy klucz otwierał jedną małą szufladę w szafie, a każda szuflada miała swój własny zamek szyfrowy. Kyle znał wszystkie kombinacje, a mimo to nie chciał otworzyć szafki. Nie, ponieważ to, czego szukał, znajdowało się właśnie tutaj, w dokumentach z górnej szuflady.

Samo uświadomienie sobie tego faktu, jak gdyby wpłynęło na obraz niego samego siedzącego w fotelu Gormleya, Kyle zobaczył, że zatrzymuje się nagle, gdy do rąk bierze jedną z teczek. Była to żółtateczka, co oznaczało, że dotyczyła potencjalnego członka organizacji. Kogoś „na liście”, jak to się mówiło. Kogoś, na kogo Gormley miał oko. Być może kogoś z prawdziwym talentem.

Gdy tylko pojawiła się ta myśl, Kyle zrobił krok w stronę samego siebie siedzącego przy biurku. Wtedy, dramatycznie, jak to zawsze bywało, jego alter-obraz przy biurku podniósł wzrok, wpatrywał się w niego i podniósł teczkę tak, że mógł przeczytać nazwisko na okładce. Nazwisko brzmiało „Harry Keogh”. To wszystko. To był moment, w którym Kyle się obudził. Co to znaczyło lub mogło znaczyć – ktoś mógł to wiedzieć? Kyle już dawno zrezygnował z prób dociekania znaczeń tych przebłysków, wierzył tylko, że były istotne. Ale w każdym razie jeśli można powiedzieć, że coś go tu dzisiaj sprowadziło, to musiał to być ten krótki i jak dotąd niewytłumaczalny „sen” przed przebudzeniem.

Było jeszcze dość wcześnie rano. Kyle wyprzedził o kilka minut pierwsze korki na ulicach Londynu. Przez najbliższą godzinę lub więcej na zewnątrz miał panować chaos, ale tutaj było cicho jak w przysłowiowym grobie. Reszta personelu administracyjnego dostała dwa dni wolnego z powodu żałoby po zmarłym, więc biura na górze były zupełnie puste.

W maleńkim foyer Kyle nacisnął przycisk windy, która momentalnie przyjechała. Wszedł do środka i gdy drzwi się za nim zamknęły, wyjął swoją kartę wstępu i przesunął ją gładko przez szczelinę czujnika. Winda szarpnęła, ale nie wykonała żadnego ruchu w górę. Drzwi otworzyły się, czekały przez dłuższą chwilę, po czym znów się zamknęły. Kyle zmarszczył brwi, spojrzał na swoją kartę i cicho przeklął. Jej ważność skończyła się wczoraj!

Normalnie Gormley odnowiłby jej ważność w komputerze; teraz Kyle musiał zrobić to sam. Na szczęście miał przy sobie kartę Gormleya, wraz z resztą jego biurowych rzeczy. Używając karty zmarłego szefa, zmusił windę do przejazdu na ostatnie piętro, przechodząc podobną procedurę, dostał się do głównego pomieszczenia biurowego.

Cisza w środku była niemal ogłuszająca. Wysoko ponad poziomem ulicy, z dźwiękoszczelnymi podłogami, aby odciąć się od hotelowych hałasów z dołu, i z podwójnie oszklonymi przyciemnianymi oknami dla zapewnienia dodatkowej prywatności, miejsce to wydawało się osadzone w swego rodzaju próżni. Pojawiało się tu uczucie, że gdyby słuchać tej ciszy wystarczająco długo, trudno byłoby złapać oddech. Tak było zwłaszcza w pokoju Gormleya, gdzie ktoś rozważny zaciągnął żaluzje w oknach. Ale żaluzje zacięły się w pół drogi, tak że teraz, przy smugach światła wpadających przez zabarwione na zielono okna, całe biuro wydawało się udekorowane poziomymi prążkami o podmorskiej barwie. Sprawiało to, że ten niegdyś znajomy pokój stawał się zaskakująco obcy, a brak Starego był nagle bardzo dziwny i nierealny...

Kyle stał w drzwiach, wpatrując się w biuro przez długą chwilę, aż wreszcie wszedł do środka. Potem, zamykając za sobą drzwi, stanął na środku pomieszczenia. Kilka ukrytych czujników odkryło jego obecność i zapewne zidentyfikowało go już, zarówno w mijanych wcześniej biurach, jak i tutaj, ale ekran monitora zamontowany w ścianie obok biurka Gormleya nie był usatysfakcjonowany. Piknął i wyświetlił komunikat:

SIR KEENAN GORMLEY NIE JEST W TEJ CHWILI DOSTĘPNY. TO JEST OBSZAR CHRONIONY. PROSZĘ ZIDENTYFIKOWAĆ SIĘ NORMALNYM GŁOSEM LUB NATYCHMIAST WYJŚĆ. JEŚLI NIE UDA SIĘ WYJŚĆ LUB WYLEGITYMOWAĆ, ZOSTANIE WYŚWIETLONE DZIESIĘCIOSEKUNDOWE OSTRZEŻENIE, PO KTÓRYM DRZWI I OKNA ZOSTANĄ AUTOMATYCZNIE ZAMKNIĘTE... POWTARZAM: TO JEST OBSZAR CHRONIONY.

Czując irracjonalną złość wobec zimnej, bezmyślnej maszyny, Kyle nieco złośliwie nic nie powiedział, tylko czekał. Po odliczeniu do trzech ekran wyczyścił się i zakomunikował:

ODLICZANIE DZIESIĘCIU SEKUND ROZPOCZYNA SIĘ TERAZ... DZIESIĘĆ... DZIEWIĘĆ... OSIEM... SIEDEM... SZESĆ...

– Alec Kyle – powiedział Kyle niechętnie, nie chcąc dać się uwięzić. Maszyna rozpoznała wzór jego głosu, przestała liczyć i zaczęła wyświetlać kolejny komunikat:

DZIEŃ DOBRY, PANIE KYLE... SIR KEENAN GORMLEY NIE JEST JUŻ...

– Wiem – powiedział Kyle. – On nie żyje.

Podszedł do klawiatury biurka i wstukał aktualny kod bezpieczeństwa; na co maszyna odpowiedziała:

NIE ZAPOMNIJ ZRESETOWAĆ PRZED WYJŚCIEM – i wyłączyła się.

Kyle usiadł przy biurku. „Śmieszny świat – pomyślał. – Roboty i romantycy. Supernauka i zjawiska nadprzyrodzone. Telemetria i telepatia. Komputerowe wzory prawdopodobieństwa i prekognicja. Gadżety i duchy!”.

Sięgnął do kieszeni po papierosa i zapalniczkę, wyjął oba przedmioty, a także klucze do szafki Gormleya. Bez namysłu cisnął je w pusty kąt biurka, po czym znieruchomiał, wpatrując się w leżące przed nim klucze, które utworzyły na biurku wzór z porannej wizji. „Bardzo dobrze, no to zaczynamy”.

Sprawdził szuflady biurka. Zamknięte. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął notes Gormleya, sprawdził kod. Brzmiał on: SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ.

Nie mogąc stłumić chichotu, Kyle wbił SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ na klawiaturze i spróbował ponownie. Górna prawa szuflada wysunęła się pod naciskiem dłoni. W środku znajdowały się papiery, dokumenty, akta...

„Czas na prawdziwą zabawę”, pomyślał.

Wyjął papiery i położył je przed sobą na biurku. Pozostawiając szufladę otwartą (znowu jak w porannym „przebłyску”), zaczął przeglądać dokumenty, umieszczając każdy po kolei z powrotem w szufladzie. Wiedział, że w tej chwili jego talent nie powinien go już właściwie zaskakiwać, ale nic nie mógł na to poradzić – i dlatego wydał z siebie mimowolne westchnienie, gdy dotarł do żółtej teczki. Nazwisko na okładce brzmiało oczywiście Harry Keogh. Harry Keogh. Poza snem Kyle’a to nazwisko pojawiło się tylko raz: w grze ESP, w którą grywał z Keenanem Gormleyem. Jeśli zaś chodzi o tę teczkę, to nigdy wcześniej jej nie widział (w każdym razie nigdy w swoim życiu świadomym). A jednak siedział tu, wpatrując się w nią, dokładnie tak samo jak w swoim śnie. To było bardzo przerażające uczucie.

We śnie trzymał teczkę przed sobą. Teraz ta myśl wprowadziła go w ruch. Czując się głupio – nie rozumiejąc, dlaczego to zrobił, ale jednocześnie czując, że jego skóra jest naładowana obcą energią – podniósł teczkę w kierunku pustego pokoju, jak gdyby do ducha z własnej niedawnej przeszłości. I tak jak myśl wywołała działanie, tak teraz działanie wywołało coś innego – coś, co było poza wszelkim wcześniejszym doświadczeniem i wiedzą Aleca Kyle’a.

„Boże wszechmogący! Gadzety i duchy!”.

Jeszcze przed chwilą w pokoju było przyjemnie ciepło. Centralne ogrzewanie, biura nigdy nie były zimne. A przynajmniej nie powinny być. Ale teraz, w ciągu kilku sekund, temperatura drastycznie spadła. Kyle wiedział o tym, czuł to, ale jednocześnie zachował wystarczająco dużo instynktownego rozsądku, by zastanowić się, czy temperatura jego ciała również nie spadła. Jeśli tak, to nie byłoby to trudne do wyjaśnienia. To musi być to, co czuje się, będąc w szoku. Nic dziwnego, że ludzi przechodzą dreszcze!

– Jezu Chryste! – wyszeptał, jego oddech uniósł się mgiełką w nagle mroźnym powietrzu. Teczka wypadła z jego drżących palców i upadła na biurko. Dźwięk jej upadku – i to, co zobaczył – spowodowało u Kyle’a niemal spastyczną reakcję ruchową. Szarpnął się w tył na swoim krześle, jego nogi przejechały po fałdzie dywanu, krzesło przechyliło się do tyłu, aż uderzyło o parapet i odbiło się z powrotem do przodu.

To coś, co stało w połowie drogi między drzwiami a biurkiem, nie poruszyło się. Na początku Kyle myślał (i bał się tej myśli), że to może być tylko on sam, w jakiś sposób przeniesiony ze snu. Ale teraz zobaczył, że był to ktoś inny – lub raczej coś innego. Ani przez moment nie przyszło mu do głowy kwestionować prawdziwości tego, co widział, ani przez chwilę nie uznał tego za coś innego niż zjawisko nadprzyrodzone. Jak mogłoby to być coś innego? Skanery, które nieustannie przeczesywały pomieszczenie, całe biuro, nie wykryły niczego. Gdyby wyłapały cokolwiek, alarmy włączałyby się właśnie teraz i z minuty na minutę stawałyby się coraz głośniejsze, aż ktoś usiadłby przy monitorze i zareagował. Ale alarmy milczały. Ergo, nie było tu nic do wykrycia przez czujniki – a jednak Kyle to coś widział.

Był to mężczyzna – młodzieniec – nagi jak dziecko, stojący naprzeciwko Kyle’a, patrzący wprost na niego. Ale jego stopy nie dotykały dywanu, a paski zielonego światła z okien wnikały w jego ciało, jakby nie miało ono żadnej substancji. Cholera – to coś naprawdę nie miało żadnej substancji! Tylko że wpatrywało się w niego i Kyle wiedział, że go widzi. A z tyłu głowy zadawał sobie pytanie: „Czy to coś jest przyjazne, czy...?”

Przesunął krzesło do przodu i jego oczy dostrzegły coś w tylnej części otwartej szuflady. Automatyczny Browning 9 mm. Wiedział, że Gormley nosił broń, ale nie wiedział o tym rewolwerze. Tylko czy broń była załadowana, a jeśli tak, to czy była skuteczna przeciwko temu czemuś?

– Nie – odpowiedziała naga zjawa z powolnym, prawie niezauważalnym ruchem głowy. – Nie byłaby. – Co było tym bardziej zaskakujące, że jej usta nie poruszyły się ani o milimetr!

– Jezu Chryste! – Kyle znów westchnął, tym razem głośno, bo po raz kolejny mimowolnie odskoczył od biurka. A potem, próbując odzyskać panowanie nad sobą, powiedział:

– Ty... czytasz w moich myślach!

Zjawa uśmiechnęła się słabo.

– Wszyscy mamy swoje talenty, Alec. Ty masz swój i ja mam swój.

Dolna szczeka Kyle'a całkiem opadła. Zastanawiał się, co byłoby łatwiejsze: po prostu myśleć przy tej rzeczy czy rozmawiać z nią.

– Po prostu rozmawiaj ze mną – odpowiedziała zjawa. – Myślę, że tak będzie łatwiej dla nas obu.

Kyle przełknął, próbował coś powiedzieć, znowu przełknął i w końcu wydusił z siebie:

– Ale kim... czym... czym do cholery jesteś?

– To, kim jestem, nie ma znaczenia. To, czym byłem i będę, ma. Teraz słuchaj, mam ci wiele do powiedzenia i wszystko to jest raczej ważne. Zajmie to trochę czasu, może godziny. Czy potrzebujesz czegoś, zanim zacznę?

Kyle wpatrywał się w... cokolwiek to było. Wpatrywał się w to coś, przesuwał wzrok, znów zerkał na to kątem oka. Wciąż tam było. Poddał się instynktowi wspieranemu przez co najmniej dwa z pięciu zmysłów: wzrok i słuch. Rzecz wydawała się racjonalna, istniała, chciała z nim rozmawiać. Dlaczego z nim i dlaczego teraz? Niewątpliwie wkrótce się tego dowie. Ale do cholery, on też chciał z tym czymś porozmawiać. Miał tu prawdziwego żywego ducha, albo może prawdziwego martwego!

– Czy czegoś potrzebuję? – powtórzył niepewnie pytanie tamtego.

– Chciałeś zapalić papierosa – zauważyła zjawa. – Mógłbyś też zdjąć płaszcz, zrobić sobie kawę. – Wzruszyła ramionami. – Zrób to od razu, wtedy będziemy mogli zająć się ważniejszymi sprawami.

Centralne ogrzewanie włączyło się, podkręcając się o stopień, aby zrekompensować nagły spadek temperatury. Kyle ostrożnie wstał, zdjął płaszcz iłożył go na oparciu swojego krzesła.

– Kawa – powiedział. – Tak... Zaraz wracam.

Obszedł biurko i minął swojego gościa. Zjawa obróciła się, by obserwować, jak opuszcza pokój, błądy cień unoszący się na środku pomieszczenia, chudy, nietrwały jak płatek śniegu, kłęb dymu. A jednak... o tak, była w nim moc. Kyle cieszył się, że nie podążała za nim...

Wrzucił dwie pięciopensówki do automatu z kawą i skierował się do toalety, podczas gdy maszyna przygotowywała napój. Załatwił się szybko, podniósł parujący kartonowy kubek z kawą i ruszył z powrotem do biura Gormleya. Zjawą wciąż tam była, czekała na niego. Ostrożnie obszedł ją dookoła, usiadł ponownie przy biurku i zapalając papierosa, przyjrzał się swojemu gościowi dokładniej. Czuł, że musi utrwalić to coś w swoim umyśle.

Biorąc pod uwagę fakt, że jej stopy nie dotykały podłogi, musiała mieć około metra osiemdziesięciu wzrostu. Gdyby jej ciało było prawdziwe, ważyłaby może sześćdziesiąt kilo.

Wszystko wokół zjawy było mgliste, jakby świeciła jakimś słabym wewnętrznym światłem, więc Kyle nie mógł być pewien kolorów. Jej nieuporządkowana fryzura wydawała się mieć jasny piaskowy odcień. Niewielkie i nieregularne plamy na wysokich policzkach i czole mogły być piegami. Mężczyzna miałby może dwadzieścia pięć lat; na początku wyglądał młodziej, ale to wrażenie już minęło. Jego oczy były interesujące. Patrzyły na Kyle'a, a jednocześnie zdawały się patrzeć na wskroś niego, jakby to on był duchem, a nie odwrotnie. Były niebieskie, miały ów zaskakująco bezbarwny odcień błękitu, który zawsze wygląda tak nienaturalnie, że wydaje się, że jego właściciel musi nosić soczewki. Co więcej, w tych oczach było coś, co mówiło, że wiedzą więcej, niż jakikolwiek dwudziestopięcioletek miałby prawo wiedzieć. Wydawało się, że jest w nich zamknięta wiedza i mądrość stuleci, skrywała się tuż pod niebieskawą błoną, jaka je pokrywała.

Poza tym rysy młodzieńca były delikatne jak porcelana i wydawały się równie kruche, jego ręce były szczupłe, ramiona nieco zapadnięte; skóra, poza piegami na twarzy, była biała i nieskazitelna. Zapewne na ulicy ludzie nie zwróciliby na niego uwagi. Był po prostu... zwykłym młodym człowiekiem. Albo młodym duchem. A może bardzo starym.

– Nie – powiedział obiekt obserwacji Kyle'a, choć jego usta pozostały nieruchome. – Nie jestem żadnym duchem. Nie w klasycznym rozumieniu tego słowa w każdym razie. Ale teraz, skoro najwyraźniej zaakceptowałeś już moją obecność, możemy zacząć?

– Zacząć? A, tak, oczywiście! – Kyle nagle miał ochotę się roześmiać histerycznie jak jakiś podłotek. Kontrolował to z wysiłkiem.

– Jesteś pewien, że jesteś gotowy?

– Tak, tak. Proszę bardzo. Ale, hmm, czy mogę to nagrać? Dla potomności, sam rozumiesz... Jest tu magnetofon, i zaraz...

– Maszyna mnie nie usłyszy – odpowiedziała zjawa, ponownie kręcąc głową. – Przepraszam, ale będę mówić tylko do ciebie, i to bezpośrednio do ciebie. Myślałem, że to rozumiesz. Ale... możesz robić notatki, jeśli chcesz.

– Notatki, tak... – Kyle poszperał w szufladach biurka, znalazł papier i ołówek. – Dobrze, jestem gotowy.

Tamten powoli skinął głową.

– Historia, którą mam do opowiedzenia, jest... dziwna. Ale pracując w takiej organizacji jak twoja, nie powinienesz uznać jej za przesadnie niewiarygodną. Będziesz miał później wiele do zrobienia; prawda o rzeczach, które zamierzam ci opowiedzieć, wyjdzie wtedy na jaw. Co do wszelkich wątpliwości, jakie możesz mieć w sprawie przyszłości oddziału – odłóż je na bok. Wasza praca będzie kontynuowana i oddział będzie rósł w siłę. Gormley był szefem, ale nie żyje. Teraz ty będziesz szefem – przez jakiś czas. Zapewniam cię, że dasz sobie radę. W każdym razie nic, co wiedział Gormley, nie zostało stracone, wręcz przeciwnie. Co do Opozycji: ponieśli straty, z których mogą się już nigdy nie podnieść. A przynajmniej nie prędko.

Gdy zjawa przemówiła, oczy Kyle’a otworzyły się jeszcze szerzej, a on sam wyprostował się w krześle. To coś (*on*, *chole-ra!*) wiedział o oddziale. O Gormleyu. I o „Opozycji” – słowo to w tutejszym żargonie oznaczało jednostkę rosyjską. I o co chodziło z tym, że ponieśli ciężkie straty? Kyle nic o tym nie wiedział! Skąd ta istota czerpała informacje? I ile w ogóle wiedziała?

– Wiem więcej, niż możesz sobie wyobrazić – powiedział tamten, uśmiechając się słabo. – A to, czego nie wiem, mogę łatwo poznać – w zasadzie prawie wszystko.

– Widzisz – powiedział Kyle defensywnie – nie chodzi o to, że wątpię w cokolwiek z tego, co mówisz – czy nawet w moje własne zdrowie psychiczne – po prostu próbuję to sobie poukładać i...

– Rozumiem – przerwał mu tamten. – Ale proszę, rób to, nie przerywając mi, jeśli możesz. W tym, co mam zamiar opowiedzieć, strefy czasowe mogą się trochę mieszać, więc będziesz

musiał poukładać sobie także chronologię zdarzeń. Postaram się trzymać jej tak ściśle, jak tylko będę potrafił. Najważniejsza jest sama informacja. I jej implikacje.

– Nie jestem pewien, czy w pełni rozu...

– Wiem, wiem. Po prostu siedź i słuchaj, a wtedy może zrozumiesz.